

# WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 15.

Wilno, 13 (26) kwietnia 1914 r.

Rok II.







## Co umiem nakreślić.

*Kiedy biorę ołówek (chętna dzisiaj rzadko),  
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawię kreski,  
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,  
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski,*

*Nic innego nie umiem kreślić na papierze,  
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;  
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,  
Chciałem kreślić gmach pański—ołówek się kruszy.*

*Bogdaj to wiejska chata! tu prostymi sztrychy  
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiode,  
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy:  
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode.*

*Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,  
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zyliszcze,  
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,  
Choć im wicher przez szpary piosnkę nęczy świszcze.*

*Bogdaj to wiejski kościół!—dzwonnicę pochyłą,  
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!  
Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,  
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między działwą.*

*Lub stary organista, gdy kantyczki złoży  
I na pucierz wieczorny uroczyste dzwoni,  
To słyszysz wyobrażnią, jak leci Duch Boży  
W drganiu echa świętego po zielonej błoni.*

*Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!  
Sam zdaje się z pamięci pod ołówek bieży  
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło  
Nad szczepy dębowemi chocimskich rycerzy.*

*Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,  
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny...  
Ot jeszcze umiem kreślić wiejski krzyż cmentarny,  
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.*

*L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla).*







EUSTACHY Hr. TYSZKIEWICZ.



WIDOK b. MUZEUM STAROŻYTNOŚCI, w WILNIE, mieszczącego się w sali, która służyła ongi za lokal Auli Uniwersytetu wileńskiego, a gdzie obecnie znajduje się czytelnia Biblioteki publicznej. Widzimy tu siedzącego w fotelu Eustachego hr. Tyszkiewicza, prezesa komisji archeologicznej i dożywotniego kuratora Muzeum, obok stoi znany artysta-malarz Albert Zamek (wybitny pejzażysta), autor rysunku rzeczonyj sali. Pośrodku sali kopja posągu „Światowita”. Sklepienie zdobią malowidła prof. F. Smuglewicza: Minerva na Olimpie wieńcząca mężów uczonych, u progu świątyni stawy oraz inne alegoryczne plafony, na gzymsach popiersia mędrców Romy i Helady. Całość Muzeum była w stylu poważną, bogactwem zbiorów wspaniała. Od r. 1866 styl ozdób i całość sali nosi piętno rosyjskie.

Ku upamiętnieniu setnej rocznicy urodzin zasłużonego badacza polskiego, założyciela „Muzeum Starożytności” i „Komisji archeologicznej” w Wilnie (1855—1864 r.), ur. w Lohojsku gub. mińskiej 6 kwietnia 1814 r., zmarłego w Wilnie 25 sierpnia 1873 r.

## Na nowe placówki!

W roku bieżącym wyszedł w Warszawie zainicjowany przez byłego posła do Dumy p. Władysława Grabskiego i pod jego kierunkiem opracowany w wydziale statystycznym Biura Pracy Społecznej pierwszy Rocznik Królestwa Polskiego. Dowiadujemy się z tej książki, iż wśród ludzi pracujących w handlu Polaków jest zaledwie 14 procent.

Jeszcze gorzej stosunki przedstawiają się na Litwie. Nigdzie w kraju naszym niema takiego dobrobytu jak w gub. Kowieńskiej, tam również rozwinięta jest najlepiej sieć różnorodnych towarzystw współdzielczych. A pomimo to w miastach i miasteczkach gub. Kowieńskiej, jak wykazują źródła urzędowe, żydzi stanowią aż 95 procent kupców. Nic dziwnego, że biedna Litwa wyżywić może więcej niż półtora miliona „narodu wybranego”, choć setki tysięcy bra-

ci naszych już od dziesiątków lat tuła się w pogoni za chlebem po Ameryce, Syberji, Cesarstwie i innych krajach. Widocznie chleb dla nas znalazłby się, gdybyśmy go umieli zdobywać.

Niestety braknie nam inicjatywy i umiejętności prowadzenia handlu. Sklepików spożywczych namnożyło się u nas bez liku. Jeżeli gdziekolwiek powstanie nowe jakie przedsiębiorstwo mające widoki pomyślnego rozwoju, natychmiast w sąsiedztwie otworzą drugie, konkurencyjne. I prowadzą obydwa nędzny żywot, albo bankrutują. Tymczasem, mało kto się pokusi zdobywać nowe placówki. Całe gałęzie handlu wciąż pozostają w rękach żydów.

Po nie trzeba sięgać.

P.

## Żydzi na wsi.

Na zasadzie specjalnych praw żydzi w strefie ich osiadłości mogą

zamieszkiwać tylko w miastach i miasteczkach. Z przywileju, który daje możność osiedlania się na wsi korzystają tylko pewne kategorie żydów—jak lekarze, felczerzy, dentyści, rzemieślnicy. Oprócz tego żaden żyd, nie wyłączając kategorii uprzywilejowanych, nie ma prawa nabywania na wsi własności ziemskiej, czy to z rąk szlachty, czy to z rąk włościańskich, jako też nie wolno im dzierżawić ziemi i innych nieruchomości, nie służących do celów przemysłu wytwórczego.

Ale — jak powiadają — niema takiego prawa, którego by ominąć nikt nie potrafił.

Wbrew istniejącym prawom, żydzi na wsi mieszkają, są właścicielami ziemi, dzierżawią rozmaitego rodzaju nieruchomości i robią majątki, nieraz kosztem kompletnej ruiny ziemianina i włościanina.

Do niedawna takie omijanie prawa było jak gdyby tolerowane. Pod wpływem jednak kursu nacyj-





„Nasi“ kupcy.]]

nalistycznego gubernatorowie, zwłaszcza miński — Giers i wileński — Wierowkin, rozpoczęli rugi żydowskie.

Skutkiem rozporządzeń tych gubernatorów, rządy gubernjalne zaczęły dochodzić, na jakiej zasadzie zamieszkuje na wsi każda rodzina żydowska i jakim prawem posiadała nieruchomości. Dochodzenia te ujawniły, że swobodnemu omijaniu przez żydów praw sprzyjają niedbalstwo policji, nieświadomie nie prawne włościan, ukrywanie żydów przez ziemian materialnie od żydów zależnych i wreszcie nieogłębność rejentów, poświadczających akty kupna, dzierżawy i t. d.

Dla zdobycia prawa zamieszkania na wsi, żydzi najczęściej podają się za rzemieślników. Sposób to bardzo łatwy, gdyż po skasowaniu w naszym kraju cechów, zdobycie patentu rzemieślniczego nie przedstawia żadnej trudności. Dziś wystarczy przedstawić poświadczenie jakiegoś rzemieślnika o ukończeniu terminu nauki, ażeby Zarząd miejski wydał patent rzemieślniczy.

Jak wykazały rewizje, na wsi roi się od żydów rzemieślników, w rzeczywistości trudniących się czem innym. Stwierdzono, iż na wsi jest wielu przedstawicieli takich rzemiośł, które mogą mieć rację bytu tylko w miastach — jak piekarze, introligatorzy, fabrykanci atramentu i t. p. Wedle prawa na wsi mogą mieszkać tylko żydzi —

rzemieślnicy, którzy faktycznie uprawiają rzemiosło. Tymczasem, w rzeczywistości, dzieje się inaczej. Władze gubernjalne zanotowały szereg faktów, że policja jakgdyby umyślnie pomija okoliczności, określające istotę zajęcia żyda.

Są tego liczne dowody.

Wileński rząd gubernjalny zwątpił co do prawa zamieszkania pewnego żyda i nakazał policji dochodzenie.

Policja orzekła, że ta osoba ma prawo zamieszkania, ponieważ ma piekarnię.

Gdy zaś na skutek drugiego nakazu obejrzano mieszkanie podejrzanej osoby, okazało się następujące: dom „piekarza“ znajduje się przy stacji kolejowej; mieszkanie składa się z 8 pokoi, przeznaczonych dla przyjezdnych; przy mieszkaniu jest sklep z różnymi towarami. Mimo to, naczelnik policji powiatowej, w raporcie znowu potwierdził, że ów żyd ma prawo zamieszkania na wsi, ponieważ znaleziono w jego domu kilka worków mąki i kilka świeżo upieczonych bułek.

Pewien znowu kowal, na żądanie rządu gubernjalnego nie mógł wobec policji i świadków, zrobić siekiery i podkowy.

W jednym wielkim majątku ziemskim, polskim, mieszkał żyd, uchodzący za gorzelnianego. Władza gubernjalna zażądała od naczelnika policji powiatowej odpowiednich wyjaśnień.

Naczelnik policji w raporcie donosił, że jeździł do majątku i badał właściciela, który potwierdził, iż ów żyd jest u niego na służbie w gorzelnii. Władza gubernjalna nie zadowolniła się raportem i zażądała szczegółowego opisu, jak mieszka, gorzelniany i jego rodzina. Okazało się w końcu, że gorzelniany zajmuje cały pałac pański, wydaje wszystkie rozkazy co do całej gospodarki, sprzedaje las i t. d., sam zaś pan właściciel odwiedza ojcowiznę kilka razy do roku, przyjeżdża z kolei na wynajętej żydowskiej szkapie i zamieszkuje w jednym pokoju.

Podobnych rażących obrazków dochodzenie ujawniło dość dużo.

Stwierdzenie wielu wypadków zagnieżdzenia się żydów na wsi wbrew prawu i z wiedzą policji skłoniło gubernatora wileńskiego Wierowkina do wydania okólnika przypominającego policji o jej obowiązkach. Okólnik nakazuje, ażeby policja w razie powoływania się żyda na świadectwo rzemieślnicze, sprawdzała, czy posiadający takie świadectwo w rzeczywistości trudni się wskazanym rzemiosłem, czy ludność istotnie potrzebuje takiego rzemieślnika, oraz czy rzemieślnik — żyd nie zajmuje się oprócz tego potajmnie sprzedażą wódki, wypożyczaniem włościanom pieniędzy pod zboże na pniu, czy nie dzierżawi ziemi, oraz czy nie zarządza majątkami. Przy sprawdzaniu policja powinna zasięgać informacji u osób, zasługujących na zaufanie, a między innymi u miejscowego księdza, duchownego prawosławnego, wójtów i sołtysów.

W tej samej sprawie prawie jednocześnie gubernator wydał okólnik do ziemskich naczelników i zarządów gminnych.

Oprócz tego, postanowiono pociągać do odpowiedzialności kryminalnej rejentów za poświadczanie akt kupna lub dzierżawy nieruchomości. Na skutek tego postanowienia już wytoczono dochodzenie przeciwko smorgońskiemu rejentowi Trofimowowi.

Iks.



# Pod Saragossą.

Jak żyw mi się przypomina  
pan Jasiński Andrzej, stary,  
bo dziewiąty krzyżyk zgina,  
rozłożyste jego bary.

Przewędrował dróg nie mało,  
dużo zdobył ran, orderów,  
lecz zuch zawsze, jak przystało  
na wachmistrza od szaserów \*).

Postać rzeźka, umysł świeży,  
mowę wspierał jędrnym gestem;  
lubił gwarzyć wśród młodzieży  
mówiąc: „Z Wami — młodszy jestem“.

Jam był w onczas młokos szczery,  
krwią kipiącą tętna były,  
więc wojaczka i szasery  
i na jawie mi się śniły.

Koniam lubił, dobrzem strzelał,  
nie wylewał też za kołnierza,  
stary tem się rozweselał:  
„Będzie z Waści tęgi żołnierz!“

W wieczór letni, cichy, niemy,  
gdy usiądziem u stóp gruszy  
i gawędkę rozpoczniemy,  
dziad wywnętrza mi się z duszy.

Gwarzy wsparłszy się na ręce:  
„Hej! wspomnienie duszę bodzie;  
bo z sumieniem na wojence,  
człek nie zawsze bywa w zgodzie.

„Wiem, że waść jest człek uczony,  
bo był trzyman w szkolnej ryzie,  
książkę czyta z każdej strony  
gładko, jakby rzepę gryzie.

„W książkach pewnie zapisane  
owoczesne w świecie głosy?  
Więc i waści pewnie znane  
oblężenie Saragossy.

„Ale pisarz, to co pisze,  
nie dobywa krwią swą, zdrowiem.  
Ja tam byłem, więc gdy słyszę  
żeś ciekawy, to opowiem.

„Cośmy szabłą wyrąbali,  
na świat piórem rozgłoszono;

\*) Andrzej Jasiński — postać aktualna, nie zmyślona. Żył jeszcze w latach 70 zeszłego stulecia. Znałem go, przedstawiam kim i jakim był, z słów jego, zgodnych z historją, wysnułem niniejszą opowieść.

lecz inkaustem to pisali,  
my pisali — krwią rodzoną.

„Wspomnieć — serce aż zaboli.  
Ciężkie są wyroki Boże!  
Sami prawie jak w niewoli,  
szliśmy wolnym kłaść obroże.

„Ale szliśmy w dal nieznaną,  
każdy gotów na śmierć, blizny,  
by przez naszą krew wylaną,  
zdobyć okup dla Ojczyzny.

„Szliśmy dziatwa więc Polonji  
przez gór śniegi, przez traw rosy,  
po przez błonia Aragonji,  
do stolicy, Saragossy.

„Hej! nie nasze to rozłogi,  
z brzoźką, z borem woniejącym,  
z bagnem, z rzeczką w poprzek drogi,  
z mostkiem starym i skrzypiącym;

„z wiejską strzechą mchem porośłą  
i z żurawiem nad studzienką,  
z boćkiem, z lipą hen, wyniosłą  
i przy wrótach z Bożą męką;

„z niwą złotą, z starą gruszą  
i z skowronka pieśni echem,  
w które wzrosliśmy tak duszą,  
że zapomnieć — liczym grzechem.

„Posuwają się szeregi,  
pośród laurów, mirtów gaju,  
ukwieconym aż po brzegi,  
jakby to był kawał rajy.

„Lecz choć stopa kwiaty strąca  
po kwiecistym łąk kobiercu,  
choć się kąpiesz w ciepłe słońca,  
jednak czujesz zimno w sercu...

„Książę Gdański nas tam wiedzie \*).  
Żwawo rusza armja cała;  
pułki konne są na przedzie,  
piesze w tyle, z boków działa.

„Ot i krzyże błysły wreszcie,  
zaczerniały groźne mury;  
dzwony wszystkie jęły w mieście,  
w dźwięk rozgłośny i ponury.

„I procesja kroczy z murów,  
z chorągwiami, z Sanctisimem,  
z brzękiem dzwonek, z pieniem chórów,  
i z kadzideł świętych dymem.

\*) Marszałek Lefebvre, pierwszy wódz armji oblegającej Saragossę.



„Rój dziewczęcy kwiaty ciska  
u stóp Tronu po nad Trony,  
lecz... za tłumem jakby błyska  
las bagnetów utajony.

— „Był to zdradny czyn hiszpanów  
by nas zmusić do modlitwy,  
i z nienacka, jak baranów  
porozpędzać, skuć bez bitwy. —

„Stał jak wryty pułk nasz cały,  
wszyscy głowyśmy odkryli,  
w tem... rozległy się sygnały;  
myśmy szable wydobyli.

„I, o zgrozo! Aż zadrzałem!  
— dziś mię strach za serce chwytą, —  
rotmistrz krzyknął: „Marsz! Marsz cwałem!“  
i... pomknęliśmy z kopyta...

„A już działa rykły grzotem,  
w kłęb ciał wijąc ludzi wieniec...  
Jam się zalał zimnym potem,  
pędząc jakby potępieniec.

„Parłem naprzód mrużąc oczy  
i na oślep kłułem, siekłem...  
Czułem, że się pałasz broczy,  
żem zwarjował, czy się wściekłem...

„Coś mi wyło w głębi duszy,  
coś krzyczało wedle serca:

chrześcijanin — krzyże kruszy,  
polski żołnierz jest morderca!..

„Wreszcie, huknął strzał opodłe \*).  
Ha! to wojsko? Zbyłem strachu;  
poprawiłem się na siodle,  
w garść splunąłem dla rozmachu.

„I za zbrodnię z musu naszą,  
splugawienie świętych znaków,  
jam tych zbrojnych siekł na kaszę,  
dźgałem wściekle jak prosiaków!

„Spadłem z konia, przez łeb cięty,  
czuję, jucha ze mnie chlupi,  
lżejm odetchnął: Boże Święty,  
niech ta krew mój grzech okupi!“

I opuścił na pierś głowę  
pan Jasiński Andrzej stary,  
goniąc myślą czasy owe,  
wielkich czynów smutne mary.

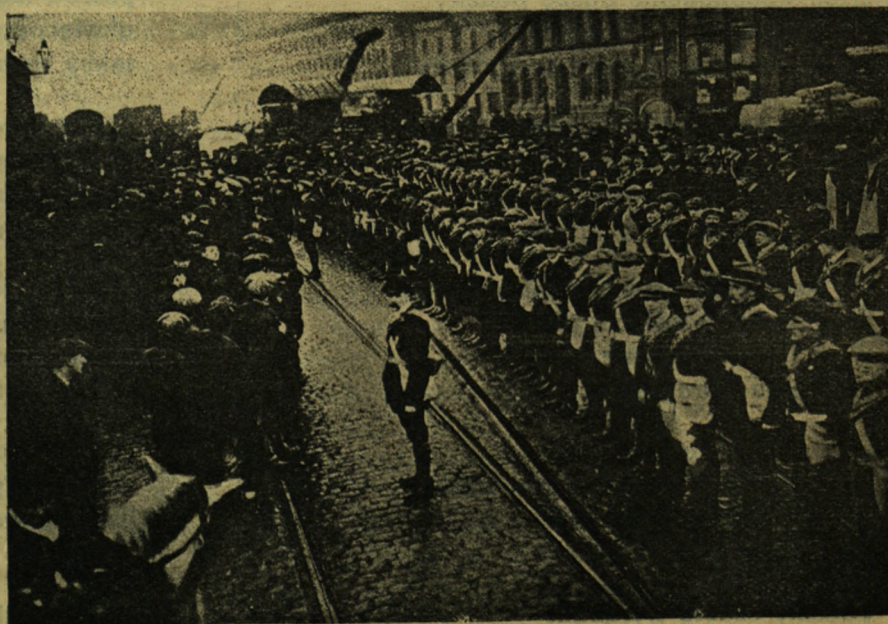
Czoło w bruzdy się pokryło,  
pierś podniosła się w westchnieniu:  
„Tak to było, tak to było!...“  
szeptał w mrocznym zamyśleniu.

*Antoni Kuprel.*

\*) W pobliżu. Prowincjonalizm używany w naszym kraju.

## W Ulsterze

W telegramach, jakie nadcho-  
dzą do pism codziennych, dużo  
miejsca zajmuje obecnie sprawa  
samorządu Irlandji. Jedna z jej  
prowincji, Ulster, najzamożniejsza  
i najbardziej uprzemysłowiona nie  
chce być podwładną katolickiej Ir-  
landji, domaga się zależności od  
parlamentu angielskiego. Sprawy  
swej Ulsterczycy gotowi są bronić  
orężem. Obecnie mają oni około  
stu tysięcy uzbrojonych ochotni-  
ków, ich wodzem, „nieukoronowa-  
nym królem“ Irlandji jest Edward  
Carson. W odpowiedzi na zbrojne  
przygotowania Ulsterczyków libe-  
ralny gabinet ministrów, przeciw-  
ny ich sprawie, zaczął wysyłać do  
Ulsteru wojsko. Krok ten wywołał  
nowe powikłania. Kilkunastu ofi-  
cerów, między którymi byli bardzo  
zdolni i wybitni, podało się do dy-



Ochotnicy ulsterscy oczekują przybycia do Belfastu Carsona „nieukoronowa-  
nego króla“ Ulsteru.

misji. W celu zatrzymania oficerów  
w wojsku, minister wojny Seely  
wydał zobowiązanie, że wojsko bę-

dzie użyte w Ulsterze nie do wal-  
ki, lecz tylko do ochrony mienia  
ludności. W obozie liberalnym



## DWAJ PRZECIWNICY.



Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych.



Huerta, prezydent Meksyku.

wszczęła się wrzawa przeciwko ministerjum wojny za to zobowiązanie, wobec czego minister Seely, oraz niezwykle zdolny i popularny generał French, szef sztabu głównego, podali się do dymisji.

## Wojna.

Tym razem wojna wybuchła w Ameryce. Wywołały ją Stany Zjednoczone, które zmiierzają do tego, aby opanować Meksyk leżący na drodze do świeżo otworzonego kanału Panamskiego.

Flota Stanów Zjednoczonych została zgromadzona w zatoce Meksykańskiej, wojsko już wylądowało na brzeg koło Verdone i zajęło to miasto.

Stany Zjednoczone łatwo mogłyby sobie dać radę z Meksykiem. Ale na zabór Meksyku krzywem okiem patrzyłyby inne państwa. To stanowi trudność dla Stanów

Zjednoczonych i grozi poważniejszymi powikłaniami. Słychać że flota japońska zdążyła już ku brzegom meksykańskim. Rząd mikada czuwa, by Stany Zjednoczone nie rozszerzyły swej władzy na Meksyk, na który pożądanym okiem patrzy Japonja.

Walka między Huertą i Wilsonem nie jest ciekawa. Ale interesuje nas pytanie, co wyniknie z tej walki.

## Z NASZEGO HANDLU.

**Nowa placówka.** W Wilnie, na Prospekcie św. Jerskim pod Nr. 9-tym pp. K. Rynkiewicz i Borkowski otworzyli skład obić papierowych. Ponieważ jest to jedyny tego rodzaju handel chrześcijański w mieście naszym, gorąco go więc polecamy wszystkim właścicielom domów, rządcom i lokatorom, odświeżającym mieszkania. Sklep został obficie zaopatrzony w towar najróżnorodniejszy, porządniejszy od tanich do najwykwitniejszych gatunków.

## D o l a.

W oczach ciemno, serce boli,  
Zapłakać chce się!  
Pójdę hukać, lepszej doli  
Wywoływać w lesie.

Przyjmie chlebem, przyjmie solą  
W szczerzej uprzejmości:  
Odezwi się, lepsza dolo,  
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa  
Wołam w leśnej ciszy;  
Ale słowa wiatr odwieja,  
Dola nie posłyszyl!

Piosnko moja! ej, nie tobie  
Przebić wicher burzył  
Wracaj jęceć sama w sobie,  
Kiedy serce wtórzy.

Ludwik Kondratowicz  
(Władysław Syrokomla).

## Odpowiedzi Redakcji.

W-ny P. K. Zieliński w Łodzi. Prenumerata opłacona do 14 (1) maja r. b.

18-27-VII-81. Herby ma tylko szlachta. Na pieczęci można oznaczyć pierwsze litery imienia i nazwiska.

Allgri. Może dostaniemy kiedy co ładniejszego? Wiersz nadesłany nie najlepszy.

**ŻYCIE** wasze, **POSAGI** dla dzieci,  
**UBEZPIECZAJCIE**

w jednym **POLSKIM**, opartem  
na wzajemności, T-wie  
Ubezpieczeń  
na tanich i dogodnych  
warunkach

Ubezpieczenia  
mogą być zawie-  
rane już od RL. 1,00  
aż do 300 tysięcy. Składka  
miesięczna od 17 kopiejek.

Z sumy przeznaczanej na dywi-  
dendę ubezpieczeni otrzymują 70%  
Wszelkich informacji uczestników udziela  
bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwie  
Zmudz i Ros: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd. Obreg. **JÓZEF KOROLEC**. Poszukiwani są agenci.

**„PRZEZORNOSC”**



## DZIEŃ POGOTOWIA RATUNKOWEGO.

Niedzielę 13 (26) kwietnia przeznaczono na Dzień Pogotowia Ratunkowego w Wilnie.

W ciągu 12 lat swego istnienia udzieliło ono pomocy 48 tysiącom ludzi, a utrzymuje się prawie wyłącznie z ofiar publicznych. Początkowo ofiary zbierano przez organizowanie zabaw, a następnie za przykładem Warszawy ustanowiono Dzień Pogotowia. Od 3 lat ustalili się typ, bardzo chętnie w Wilnie przyjęty, sprzedaży specjalnych marek Pogotowia Ratunkowego.



JÓZEF KOROLEC, prezes Komitetu Dnia Pogotowia Ratunkowego w Wilnie.

Organizację Dnia ujął w swe ręce p. Józef Korolec, i poprowadził akcję tak sprężysto, iż w 1911 roku na drodze tej zebrano 9519 r. a w 1913 r. przeszło 12 tysięcy rubli. Wzory marek obmyśla stale dla Pogotowia prof. Ferdynand Ruszczyca. W roku bieżącym marki te odznaczają się wyjątkowym artystyzmem i przedstawiają widoki Starego Wilna.

Wzory te w roku ubiegłym napotkały na trudności w zatwierdzeniu u władz.



Marki na wileńskie Pogotowie Ratunkowe według wzoru prof. Ruszczyca.



# WILKI.

Dziwnem się to komu wyda, żeby komornik, zwyczajny komornik sądowy, spisywał swoje pamiętniki! Co ciekawego w nich być może? Same tylko nakazy, zajęcia, licytacje, łotromisje, a czasem, jakby dla rozmaitości, zabawa w „kota i myszkę“ z nieszczęśliwym dłużnikiem, ofiarą prawa o przymusie osobistym.

Tak; napozór to prawda, ale w istocie, nikt chyba nie napatrzy się na tyle dramatów, komedji i fars życia — ile komornik. Przesunęło się też przed moimi oczami wiele obrazów strasznych, obrazów żywej nędzy i nieszczęścia, rozpacz, żalu, cichej rezygnacji, albo też przewrotności i szalierstwa.

Czynność nasza, to rodzaj polowania bezkrwawego — na potulne sarenki lub zające, albo też na chytrego lisa, pełnego wyrafinowanych przebiegów, podejść i wykrętów. Zdarzało mi się też trafiać na grubą i niebezpieczną zwierzynę. Pomnę dotychczas jednego „pacjenta“ o herkulesowych kształtach i karku bawolim. Postać jego do dziś dnia tkwi w mojej pamięci. Sapał groźnie, jak dzik w legowisku i, kto wie, czyby nie rzucił się na mnie, jak raniony odyniec, ale, na moje, a naturalnie i na jego szczęście, obecność licznej służby powstrzymała go od tego kroku.

Tkwi również w mojej pamięci postać wesołego młodzieńca, w którego mieszkaniu, oprócz pogruchotanej sofki i blaszanego lichtarza wartości kilku kopiejek, literalnie nie było nic więcej.

Gdy wszedł ze świadkami i wierzycielem, młodzieniec ów skłonił mi się grzecznie i rzekł ze szczególną powagą.

— Panowie! wiem pociście przyszli. Nie sądzicie, że spotkacie tu opór... Nie! Szanuję prawo, czczę sądy i, z bezwzględną pokorą, poddaję się ich mądrym wyrokom. Panie komorniku, pełnij pan swą powinność! Wyłączeń żadnych nie robię, a nad zajętymi ruchomościami gotów jestem przyjąć nadzór, ma się rozumieć za skromnym wynagrodzeniem... Szanuję prawo i proszę, niech, bez względu na moje smutne położenie finansowe, bez względu na interesa familijne, na zamiar wstąpienia w związki małżeńskie — sprawiedliwość z całą surowością wykonana zostanie.

Był to obraz tak komiczny, że nie mogłem się oprzeć wesołości i wybuchnąłem śmiechem, asystujący zaś mojej czynności wierzyciel, zawołał:

— Nu, patrz pan dobrodziej, jak un gadał jak un gadał! żeby tak płacił jak gada, toby miał największy kredyt w całym mieście...

Ale wracam do rzeczy — do mego pamiętnika.

Jest w nim kartek wiele, bardzo wiele, gdyż praktyka moja była rozległa, czynności miałem mnóstwo. W wolnych chwilach, w święto zwykle, lubiłem notować swoje wrażenia „Z podróży po kraju dłużników“.

Spisywałem je dla rozrywki, dla przepędzenia czasu, bez pretensji do stawania w szereg rycerzy pióra... Otóż jedną kartkę z tego pamiętnika wydzieram i rzucam ją przed oczy wasze. Chcecie, czytajcie — jeżeli zaś nie macie tego zamiaru, to drugie dobrze. W żadnym razie, z tego tytułu przymus osobisty wam nie zagraża.

.....

Aczkolwiek naturalnem wydaje się mniemanie, że komornik nie posiada serca — ja jednak ośmielałem się temu zaprzeczyć. A mam do tego zasadę, gdyż swego czasu byłem szalenie zakochany... Ideał, do którego wyrwała się moja dusza, posiadał prześliczne oczy barwy habru, buzię jak świeże jabłuszko i figurkę zgrabną, wiotką, niby trzcina... Słowem, było to dziewczę fenomenalnie urocze, w mojem przekonaniu przynajmniej...

Daremnie siliłbym się na opisanie jej wdzięków; czuję, że pióro komornika jest na to za sztywne, za urzędowe. Powiem więc krótko, że panna Aniela była oślepiająco piękna!

Starałem się o jej rękę, jak wielu z młodzieży; tańczyłem z nią przy każdej sposobności, znosiłem jej kwiaty, książki do czytania — ot, zwyczajnie jak zakochany...

Niestety, moja miłość była jak kwiat bez woni, jak wyrok bez tymczasowej egzekucji... Nie zdołałem pozyskać wzajemności...

Ojciec był za mną, matka za mną, ale sama panna nie chciała mi sprzyjać. Odmowę jej przyjąłem z rezygnacją... Cóż robić?... serce nie sługa, rozkazów nie słucha, a powtóre, nie mogłem się mierzyć nawet z moim szczęśliwym rywalem. Ja, blade dziecię miasta, o pospolitych rysach twarzy — on, kwitnący zdrowiem wieśniak, przystojny, w całym znaczeniu tego wyrazu; ja, zwyczajny komornik, mól, meblojad, on dzierżawca folwarku, mający wolancik i parę spasyłych, okazałych dereszów...

Anielcia poszła za niego... Nie dziwię się temu, ja sam byłbym za niego poszedł, naturalnie, gdybym był panną.

Byłem na ślubie i, ukryty za filarem, w najciemniejszym kąciuku kościoła, wyplakałem się serdecznie. Nie śmiejcie się — komornicy także płaczą niekiedy...

Nazajutrz młoda para odjechała do Wierzbówki, a ja pozostałem w mieście; robiłem w dalszym ciągu zajęcia, sprzedawałem stare graty, ściagałem dłużników.

Uplynęło sześć czy siedem lat.



Obraz uroczej Anielci nie zatarł się w mem sercu, chociaż barwy jego pobladyły pod wpływem czasu. Rana w mem sercu zablizniła się już trochę, a zresztą i moje poglądy na sprawy roman-sowej natury, uległy znacznej zmianie.

Czy wogóle serce, przyniewesołych czynnoś-ciach mego zawodu, stępiało, czy co, dość, że straciłem chęć do poznania piękniejszych stron życia i nie uganiałem się więcej za oczami habrowemi. Nawet kumoszki i ciotki, który pragnęły gwałtem okuć mnie w złote więzy hymenu, spotkały z mej strony energiczny opór. Nie pomogła wymowa kilkunastu znakomicie wprawnych języczków i, głu-chy na wszystko, pozostałem kawalerem do dzi-siejszego dnia i, jak się zdaje, pozostanę nim do końca mego, daj Boże najdłuższego żywota.

Pewnego dnia, rankiem, gdy siedziałem w mo-jej kancelarji i przeglądałem papiery, wszedł mój klient, pan Abraham Fajn, okazałej tuszy mężczy-zna i, obcierając spoczone czoło czerwną chustką, rzekł:

— Panie kimorniku, trzeba nam zaraz jechać zrobić zajęcie?

— Na wsi — zapytałem.

— Trochę na wsi. Mam prawomocnego wy-roku na Sakowicza, dzierżawcę z Wierzbówki; wi-nien całkiem głupie 500 rubli i nie chce płacić, niech jemu djabli wezmą.

— Kiedyż mamy jechać.

— Jakto kiedy? dziś na noc, staniemy tam przed świtem. Trzeba spieszyć, bo un schowa gdzie swoje pare konie i wolant, który dla mnie akurat pasują. Ja już nie mogę trząść moje zdrowie na zwyczajne bryczke, mnie doktor powiedział, żeby ja sobie koniecznie resorów sprawił. Un powiedział, co bez resorów mogę sobie, broń Boże, zrobić fe-ler na wątrobę. Niech moje wrogi mają taką sła-bość!!! Niech lepiej im się feler robi. Aj... aj... panie kimorniku, ja panu co powiem, że taki fe-ler, broń Boże, to jest bardzo głupi interes.

Uporządkowałem papiery i, tegoż dnia, na noc, puściłem się w drogę.

Samego Sakowicza nie było w domu.

Zrobiłem zajęcie, oddałem ów wolant, konie i uprzęż pod dozór i, już miałem odjeżdżać, gdy wyszła do mnie pani domu, mój niegdyś ideał, modrooka Anielcia.

Utyła trochę, zmieniła się, ale jeszcze była piękna.

Na jej widok serce moje uderzyło żywiej, ru-mieniec na twarzy wystąpił. A gdy spojrzała na mnie załzawionemi oczami, gdy szepnęła „panie Józefie, nie gub nas pan“, to uczułem, że nogi chwieją się podemną, że mam gotów największe głup-stwo zrobić. Człowiek ma zawsze słabość do wspo-mnień.

— Wybacz pani — rzekłem, — ale smutna powinność...

— A tak, — odrzekła — ja do pana nie mogę mieć żalu, nie mogę nawet mieć żalu do pana Fajna, tu nikt nie winien, tylko mój Jaś... mój mąż. Lekkomysłny jest trochę, grosza nie szanuje.

Nie dokończyła, bo płacz przerwał jej mowę, próbowałem pocieszyć, Abram także perswadował jej po swojemu.

— Za pozwoleniem, czego pani płacze? Te dwa kobule, co pan kimornik zajął, to więcej owsa zjedzą niż une same warte, a wolant? Co to jest wolant?! wielgie mecyel... ja pani nastęcę drugi, jeszcze lepszy. Ot dalibóg niema sobie co martwić, w handlu to różnie się przytrafuje, niech sam pan kimornik poświadczy.

— Pan tego nie zrobisz, panie Józefie, pan nas nie zniszczysz... — szeptała łkając — pięcioro dzieci, Jaś lekkomyślny...

W tej chwili przeklinałem i urząd mój i ser-ce; wolałbym był zapaść się pod ziemię, aniżeli widzieć te łzy... ale trudno... służba...

Odjechałem.

Swoją drogą, starałem się na wszystkie strony o pieniądze. Dawny przyjaciel i kolega szkolny obiecał przywieźć mi je osobiście za parę ty-godni.

Niestety, nie stawił się na termin. Dzień licy-tacji był już oznaczony, czego przerobić nie mog-łem. Żyd był twardy, gotów zaskarżyć do prezesa, mogłem posadę stracić, jak nic...

— Ha, dziej się wola Boża! — pomyślałem.

Wyjechaliśmy z miasta z Abramem, po poł-u-dniu, na wielkiej bryce, zaprzężonej w jakieś wy-chodzone wywłoki.

— Niech pan kimornik sobie nie lęka — rzekł Abram — z powrotem to my pojedziemy z wolan-tem. Sakowicza pachciarz jego dla mnie kupi. Obie-całem mu za to trzy procent. Un też potrzebuje żyć, un biedny żydek jest. I moje wątrobe nie bę-dzie miało feler. Na co jej feler? ja też potrzebuję żyć... ja przeszłego roku wozilem ją do ciepłe wo-de, mnie pięćset dwadzieścia trzy ruble kosztowa-ło... Powiedz pan, panie kimorniku, czy kto ma takie kosztowne wątrobe z przeproszeniem?

— Tak, tak, — odrzekłem — to kapitał panie Fajn, szkoda tylko, że nie można od niego kupo-nów odcinać.

— Jakto, kuponów?... Fe! nie mów pan takie słowo! Jak to można odciąć kupon od wątrobe? Pfe! pfe! — mówił sapiąc, gdyż przy pełnej tuszy, prędkie mówienie sprawiło mu duszność.

Był już wieczór, gdy przybyliśmy na brzeg Wieprza, gdzie była przeprawa promem, ale tu spotkała nas nieprzewidziana przeszkoda; prom zepsuł się, przejechać nie sposób, do najbliższego mostu sześć mil z okładem, a tu licytacja nazna-czona na jutro.

(c. d. n.).



DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska).

# Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

(Ciąg dalszy).

Tu wysunął na środek pokoju swoje wielkie krzesło, z dębu rzeźbione, jak wszystkie inne sprzęty, a wybite skórą z Korduby, o tle dereniowem i złotych wyciskach. Potem z kieszeni wyjął kluczyk, a wtedy Kaźmierz spostrzegł nie bez podziwu, że pod siedzeniem jest ukryta szuflada z misternem zameczkiem.

— Przebóg! Czego też te Niemcy nie wymyślą? — zawołał. — A to, bez urazy, możnaby o Waści powiedzieć, że: „siedzi na swoich skarbiech“.

— Ja, ja. Siedzi. Czego niema siedzieć, kiedy skarby są? — odparł bez urazy gospodarz i, wyciągnawszy szufladę, zaczął przeglądać jej różne przegrody. W jednych, nakształt kielbasek, wily się długie sakiewki, przez których dziergankę przeglądały rulony holenderskich dukatów. Gdzieindziej były drobne łańcuszki i paciorki.

— To—mówił różne andenkieny po mojej nieboszczce.

— Waśc wdowiec?

— A wdowiec. Już dwie lecie z górą minęło, jak my ją pogrzebli.

Nakoniec, z najgłębszej skrytki; wyjął długie puzderko, gdzie na szafirowym atłasie ukazał się sztuciec bursztynowy, nóż i łyżka.

— Mirabilja! Godne królewskiego stołu! powtarzał p. Kaźmierz podziwem.

— A ja zawdy powiadam, że to stworzone dla was, panie officjerze.

— Zabrałbym Waszecin sztuciec jeszcze dzisiaj, cóż kiedy w sepecik nie wlezie!

Mówiąc to, wziął jedną ze swoich rękawic i chciał niby wsunąć w nią puzdro, które oczywiście nie mogło się tam zmieścić.

Obaj się roześmieli, a podczas kiedy kupiec zamykał napowrót szufladę, Kaźmierz mówił z niekłamanem zachwyceniem:

— Wielki z Waści magister w tem rzemiośle. Wie to cała Hanza i cała Korona. Mnie nawet gadano, co Król Jegomość nieboszczyk do Waści pisywał. Czy to może być?

— A może być, kiedy było. Ho! Nasz Pan Miłościwy nietylko był mądry König, ale i mądry Kunstmeister. Inni królowie, kiedy się sfatygują, to wyprawiają sobie turnjery, szlichtady i różne lusztyki. A król Zygmunt nie, — jeno siadał w onczas do warsztatu i dłuwał sobie we złocie albo srybrze, to kubeczki, to łańcuchy, to monstrancje, i to nie dla żartu, ale rzeczy fein, coby się ich

i prawy majster nie powstydał. Owóż jednego dnia przysła mu takowa chęć, aby sobie zrobić trinkbecher z czystego brensztajnu, jeno nie wiedział, skąd wziąć tej substancji, ani jak się to robi? Kazał tedy pisać do mnie, abym ja mu przysłał kawały jakie mam najlepsze, i także w piśmie zapytował o nasze niektóre majsterskie sekreta. Jam tedy posłał i z sekretów onych się spuścił, jako wierny sługa i poddany.

— I cóż król, zrobił ten kielich?

— Gadali mi panowie, co płynęli ode Warszawy, że zrobił, i że tam wygrawował swój osobisty konterfekt. Mówili przytem, że i moim sekretem był rad.

— Fiu! Fiu! To Wasze, panie konsul, w korespondencjach z królami! Felicytuję.

I pan Kaźmierz spojrział na niego innemi oczyma, i odtąd zaczął go tytułować już nie „panem kupcem“, ani „majstrem“, ale „panem konsulem“. (Bo tak u nas niekiedy z rzymska chrzczono rajców, którzy byli niezmiernie radzi owej nazwie).

— Co też to tych precyozów tutaj! — mówił, oglądając się dokoła.—Jakem żyw, jeschcem nigdy tego cudownego elektrum tyle naraz nie widział. Czy i w tej szafie także?

— Oho! Abo to tylko w tej szafie? I albo to tylko w tej komorze? Ja na każdym sztoku mam izbę pełną tego, i cały strych także pełen.

— Nie może być! Nie uwierzę, chyba że obaczę. Pokaż mi Waszec wszystko bez excepcji. Ja już może nigdy tu w Gdańsku nie będę, to niechże napasę nos i oczy tą pachnącą ambrawą.

— A no, czemu nie? Jeśli herr officjer ciekaw; to pójdziem na górę. Będzie w czem wybierać.

Tu gospodarz zdjął ze ściany klucze i, otworzywszy drzwi komnaty, wypuścił naprzód Kaźmierza, który wyszedł tryumfując w duszy:

— Aha! Postawił ja-ci na swoim. Jak pocznem cały dom lustrować, toć przecie nam się ta biała myszka nie wyśliznie?

\* \* \*

Zaraz w korytarzu, widząc owe drzwi, z których posępny młodzieniec wskazywał mu drogę, pan Kaźmierz zapytał:

— A tu co? Także skarbczyk?

— Nie, to warsztat.

I kupiec otworzył drzwi do izby wąskiej a głębokiej; rozciągała się ona ponad kuchnią, i dwa jej okna również wychodziły na mroczny dziedzińczyk. Ściany były nagie, pod ścianami ciągnęły się stoły z prostych desek. Przy stołach pracowały zamorusane chłopaki.

— Oni—mówił kupiec—obrabiają z grubego; ja dopiero potem biorę do forszejdu.

— A to—rzekł, wskazując na młodego człowieka o posępnej twarzy, który stał pod oknem—



oto mój starszy czaladnik, człek tęgi, Kornelius Storm. Z Ollendrów on, z narodu pracowitego. Będzie to kiedyś także majster, jeno musi jeszcze dobrze fałdów przysiedzieć.

Kornelius pokłonił się, a potem powiedział.

— Herr Meister, była tu frajlein Hedviga i pytała o pana majstra.

— Nic pilnego. Ta fryga musi co godzina cała dom obieżeć. Niech sobie czeka. Teraz mam gościa, i to rarytnego, takiego, co nietylko na rzemiośle wojennem, ale i na wszelakiem się zna.

Tak to nasz kawaler prędko potrafił zawojsować pana rajcę.

\* \* \*

Gdy wrócił do korytarza i zaczęli wchodzić na schody, Kaźmierzowi błysnął znowu nad poręczą jakiś krążek biały, jakby kreza. Jednakże u wierzchu nie znalazł nikogo.

Rozkład wszystkich pięter był jednakowy; wszędzie tylko dwa, niezmiernie długie, przeciwległe sobie pokoje, rozdzielone korytarzem, przez który przebiegała się śruba schodowa.

Na drugim piętrze, w komnacie od ulicy, stały znowu szafy ogromne, ale już skromniejsze, a w nich znowu krocie przedmiotów bursztynowych, ale już mniej kosztownych. I te jednak były prześliczne, i Kaźmierz już zaczął na dobre targować pewien kubeczek z godłami rycerskimi, co wedle słów jego: „przydałby się dla pana ośca jak ulał“. Przed końcem targu wszakże oświadczył, że „musi jeszcze wziąć na medytację, i że tu grzech coś rezolwować, dopóki się nie zlustrowało wszystkiego“.

Wrócili więc na korytarz, gdzie kupiec sam wskazał drzwi przeciwne, mówiąc:

— Tu mój szlaf-zimmer.

I wprowadził gościa do komnaty cudniejszej, niżeli wszystkie inne. Wprawdzie okna jej wychodziły na dziedzińczyk, ale tu już przy większym wyniesieniu światło było mocniejsze, i skrawek lazuru nieba rysował się za szybkami. Zresztą, ktoby tu miał ochotę patrzeć na resztę świata? Każdy wolał patrzeć wkoło siebie. Było na co. Nogi grzęzły w pstrokatym smirneńskim dywanie. U drzwi i okien wisiały, chodzące na kółkach, mięsiste zapy, tak zwane „huisverts“, gdzie były wyszyte w tkaninie rozmaite obrazy, przeważnie zielone, bo wzięte najczęściej z życia myśliwskiego. Na murach, w ogromnych dębowych obramowaniach, rozpinały się sztywne kobierce flamandzkie, a na nich też ogromne wytkane obrazy, z figurami rycerzy, pięknych dam i bogów. Poniżej stały nietylko szafy gdańskie, ale i śliczne szafeczki toruńskie, wykładane mozaiką z drzewa. Z boku

nad wszystkim królujący, piętrzył się pod ścianą wspaniały pawilon, po trzech stronach zasunięty złoto-zieloną makatą.

Pan Kaźmierz rozglądał się, kręcił głową i mówił:

— Proszę! Proszę! Waszecina kamieniczka druga królowa Bona. A toż ona sumy neapolitańskie połknęła.

Kupiec zaś powzdychiwał i powiedział:

— Cóż, kiedy pustki? Tu przez dwadzieścia lat gospodarowała moja biedna Dorotea.

Kaźmierz spostrzegłszy w tej chwili klęcznik z bursztynową Figurą Matki Boskiej, zdziwił się i zapytał:

— A toć to chyba nie była dysydencka, kiedy widzę tu takie świętości?

— A nie — odparł z przekąsem gospodarz. — Katoliczka była, i zażarta. Dobrze mi dojadła swoim wiecznym śledziem i litanjami.

— Remomeruje Waści, że i ja katolik praw.

Gospodarz odpowiedział pół-szyderczo:

— Pokornie Waszą Miłość przepraszam. Ale my tu we Gdańsku nie owijamy tej rzeczy w bawełnę; jako kto wierzy, tak i gada. U nas tak.

Potem, znów nastroiwszy smutny wyraz twarzy, utyskiwał:

— Otóż ja tutaj od roków dwóch, i więcej, mizerny pustelnik. Ale — dodał z tajemniczym uśmiechem — niedługo już tego będzie...

Poczem wyprowadził gościa, który tymczasem kłął w duchu:

— A ty paskudny heretyku! Niedość że nie respektujesz postnego śledzia, jeszcze tej panniu-si chcesz napędzić macochę? Boć ta frajlein Hedviga musi być jego dziewczka, to mi się precz wjdzi.

\* \* \*

Trzecie schody były już dużo węższe i mniej ozdobne, a w korytarzu, pozbawionym ściennych wyglądów, panowały takie ciemności, że Kaźmierz nie mógł dopatrzeć żadnej krezy. Zdawało mu się wprawdzie, że słyszy jakieś szmery, ale musiało się to tylko zdawać, bo na trzecim piętrze nie znalazł nikogo.

Tu kupiec pokazał mu od ulicy komorę o ścianach nagich, gdzie stały szafy ogromne, ale proste, a w nich nic, jeno tysiące i miliony bursztynowych paciorków; jedne już nanizane w rzędy i różańce, inne luźno zsypane do szufladek; tu grubsze, jakby przezroczyście orzeszki, tam drobne, jakby złote krupy.

(c. d. n.)